



TANIEC

SANTINO TORRES #1

Z DIABLEM

MONIKA NAWARA

**TANIEC  
Z DIABLEM**

TANIEC

SANTINO TORRES #1

Z DIABLEM

MONIKA NAWARA



Copyright © 2024 by Monika Nawara  
Copyright © 2024 by Wydawnictwo HIGH HEELS

Redakcja: Patryk Białczak  
Korekta: Magdalena Wołoszyn-Cępa @obledniebezblednie  
Skład i łamanie: Mateusz Cichosz @magik.od.skladu.ksiazek  
Projekt okładki: Kamila Polańska @design\_your\_cover\_with\_me  
Fotografia na okładce: © Friends Stock (Shutterstock.com)

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Niniejszy utwór jest fikcją literacką. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci – żyjących obecnie lub w przeszłości – oraz do rzeczywistych zdarzeń losowych, miejsc czy przedsięwzięć jest czysto przypadkowe.

Wydanie I  
Koziegłowy 2024  
ISBN: 978-83-68307-01-6

[www.wydawnictwohh.pl](http://www.wydawnictwohh.pl)

Wydawnictwo HIGH HEELS  
E-mail: [biuro@wydawnictwohh.pl](mailto:biuro@wydawnictwohh.pl)

*Dla W.*

Kochanie, pamiętaj, że łatwa droga nie zawsze  
jest właściwa.

Wyboista ścieżka życiowa uczy nas pokory  
i sprawia, że już nie boimy się zaryzykować.

*Mama*



## MARIBEL

– Mamo! Wychodzę pobiegać! – krzyknęłam, w pośpiechu przechodząc przez salon, po czym usiadłam na niskiej drewnianej ławeczce przy wejściu i sięgnęłam po adidasy.

– O tej porze? – usłyszałam podniesiony głos dobiegający z kuchni i oczami wyobraźni widziałam już moment, w którym mama będzie próbowała wybić mi to z głowy.

Kiedy stanęła przede mną, spojrzałam w jej zatroskane oczy, dusząc w sobie ledwie słyszalne wyrzuty sumienia, które pojawiły się na myśl o tym, że wróciłam do domu rodzinnego kilkanaście godzin temu, a już dałam jej powody do zmartwień. Według mnie były one wysrane z palca, ale w tej chwili nie zamierzałam z nią o tym dyskutować.

– Mamo, nic mi nie będzie – zapewniłam zdecydowanie. – Wezmę ze sobą Lunę.

– Wcale mnie to nie uspokoiło. Ta psina zupełnie nie nadaje się na psa obronnego – burknęła, wycierając mokre dłonie w ściereczkę kuchenną.

– Wróć, nim się obejrzyś. Obiecuję. – Cmoknęłam ją głośno w policzek, a gdy się odsunęłam, dotarł do mnie słodki, apetyczny aromat. – Co tak ładnie pachnie?

– Córciu, odwiedzasz nas tak rzadko, że kiedy wreszcie przyjeżdżasz, to muszę cię trochę porozpieszczać.

– Pieczesz moje ulubione ciasto pomarańczowe?

– Dokładnie tak.

– Mamuś, przepraszam, ale egzaminy na studiach, praca w kawiarni...

– Wszystko jasne. Nie musisz się tłumaczyć. – Objęła mnie ciasno ramionami, dając do zrozumienia, że nie ma o nic pretensji. – Myślę, że to się już niedługo zmieni.

– Raczej nie. Chyba że na gorsze. Wiesz, że po wakacjach planuję znaleźć pracę w zawodzie, więc...

– Córeczko, nigdy nie wiemy, co przyniesie przyszłość. – Mama była wyjątkowo tajemnicza i niespecjalnie mi się to podobało. – Dobra, leć już. I uważaj na siebie.

– Jasne. Pa!

W porę zauważyłam Lunę, inaczej podeptałabym biedną psinę, leżącą na dywaniku przy drzwiach wyjściowych.

– Chodź, Luna. Rozruszamy te nasze stare kości. – Podrapałam ją pod pyskiem, po czym przepuściłam, by wyszła.

Labradorka nie była już pierwszej młodości, ale za każdym razem, gdy przyjeżdżałam do rodzinnego domu, chętnie towarzyszyła mi w dłuższych czy krótszych przebieżkach.

Truchtałam spokojnym tempem, co chwila zerkając na zegarek, dzięki któremu mogłam kontrolować tętno. W pewnym momencie odruchowo dotknęłam lewej ręki; podczas wizyty w domu rodzinnym, gdy wychodziłam pobiegać, w naramiennej kieszonce chowałam telefon, i jakież było moje zdziwienie, gdy zdałam sobie sprawę, że akurat dzisiaj zapomniałam go zabrać.

Kiedy wracałam w rodzinne strony z głośniejszą i przeludnioną Barceloną, gdzie studiowałam i mieszkawałam przez ostatnie lata, doceniałam małomiasteczkowy klimat Montblanc. Mieszkaliśmy poza centrum miasta przy niewielkiej, szutrowej, momentami kamienistej drodze, więc zazwyczaj było tu bardzo spokojnie.

Co prawda nikt obcy raczej nie zapuszczał się w te tereny, ale nagle poczułam nieprzyjemny dreszcz strachu przebiegający wzdłuż kręgosłupa. Spowodował go głównie fakt, że był już późny wieczór – lampy uliczne rozmieszczone w sporej odległości od siebie ledwo oświetlały drogę, pozostawiając gęsto zalesione pobocze pogrążone w egipskich ciemnościach. Co za tym szło, irracjonalnie wyparowało też sporo mojej odwagi, która towarzyszyła mi zaraz po wyjściu z domu.

Dzisiaj wybrałam inną trasę niż zwykle. Zrobiłam to zupełnie nieświadomie, ale jakby się nad tym zastanowić, pewnie wynikało to z ciekawości rozbudzonej przez mamę. Podczas śniadania opowiadała o naszym dalszym sąsiedzie, który przez lata sukcesywnie dokupował sąsiadujące działki i odgradzał posiadłość od wścibskich spojrzeń, dzięki czemu został właścicielem sporego terenu ogrodzonego wysokim betonowym murem. Ponoć za nim mieścił się teraz nie tylko dom jego rodziców, który pamiętałam z dawnych lat, lecz także – a może przede wszystkim – jego nowoczesna rezydencja.

Nie kojarzyłam go z czasów dzieciństwa ani tym bardziej z czasów szkoły średniej, ponieważ zamiast uczyć się w Montblanc, wyjechał i podjął naukę w prestiżowym liceum, a poza tym był ode mnie starszy o pięć czy sześć lat. Kilkukrotnie widziałam jego siostrę, ale i o niej nie byłabym w stanie powiedzieć za wiele. Obracałyśmy się w innym towarzystwie, więc nie spotykałyśmy się zbyt często, nie wpadałyśmy też na siebie na mieście.

Luna przez większość czasu wyprzedzała mnie o kilka metrów, mimo że co chwila obwąchała przydrożne krzaki.



Pokonałam kolejny zakręt, a moim oczom ukazały się liczące kilka metrów kamienne mury oświetlone lampami. Na wysokich słupach zamontowano kamery, więc mama nie przesadzała, gdy wspomniała, że to miejsce zmieniło się nie do poznania. Teraz przypominało tajemniczą i mroczną twierdzę, usytuowaną na obrzeżach Montblanc, z dala od zgiełku miasta.

Poruszając się nierówną drogą wzdłuż wysokiego muru, miałam niepokojące wrażenie, że naruszam prywatną przestrzeń właściciela kryjącej się za nim posesji, ale przynajmniej czułam się o niebo lepiej, ponieważ lampy oświetlały nie tylko szeroką drogę, ale też sporą część gęstego lasu, który przyprawiał mnie o ciarki.

Oddychałam spokojnie, utrzymując równe tempo, i rozmyślałam o przyszłości.

Po sporej przerwie wróciłam do domu na dłużej niż kilka dni. Przez cały okres studiów pracowałam w kawiarni, żeby się utrzymać i odciążyć rodziców, więc wolne pomiędzy egzaminami, podobnie zresztą jak większą część wakacji, wykorzystywałam na dodatkowe zmiany. Za kilka miesięcy planowałam jednak wyjechać do Barcelony. Tam miałam większe szanse na pracę jako architektka krajozbrazu niż w rodzinnej miejscowości.

Skrycie marzyłam o tym, że kiedyś wrócę na stałe do Montblanc, zamieszkać w domu moich dziadków i założyć firmę w miejscu, które całym sercem kocham. Niestety, w tej chwili były to tylko marzenia, i to bardzo odległe.

Głuchy dźwięk kroków odbijał się od kamienistej drogi i byłam tak pogrążona w rozmyślaniach, że kompletnie nie zwróciłam uwagi na niewielki uskok w nawierzchni. Krzywo stanęłam na nim stopą i w tej samej chwili promieniujący ból w kostce dosłownie odebrał mi oddech. Odruchowo zgięłam kolana i przejechałam nimi oraz dłońmi po ostrych krawędziach kamieni, asekurując się przed upadkiem na twarz. Jęknęłam, gdy poczułam przenikliwy ból, po czym klapnęłam na tyłek.

– A niech to diabli – szepnęłam niewyraźnie.

Dzięki ulicznemu oświetleniu przyjrzałam się zaczerwienionej skórze, która na kolanach i na wewnętrznej stronie dłoni była poharatana i brudna. Nie wyglądało to najlepiej, ale i tak najgorzej sprawy się miały z kostką. Bałam się odsłonić skarpetkę, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie.

Luna podbiegła i z merdającym ogonem trącała mnie nosem.

– Spokojnie, Luna. – Zaczęła się nerwowo kręcić wokół mnie. – Wszystko będzie dobrze.

Próbowałam się podnieść, ale po kilku nieudanych próbach przekręcania się i wyginania ciała w różnych konfiguracjach warknęłam zirytowana. Czułam się bezradna.

Oddychałam ciężko, jakbym przebiegła co najmniej półmaraton. Przymknęłam na chwilę powieki, by zebrać myśli i wziąć się w garść, aż nagle usłyszałam przytłumiony dźwięk silnika samochodu. Rozejrzałam się z kiełkującą nadzieją, bojąc się, że to tylko wyobrażenia płata mi figle.

Na szczęście Luna potwierdziła moje przypuszczenia. Zerwała się z miejsca, po czym spojrzała w kierunku zbliżającego się, jak podejrzewałam, pojazdu, choć ja nie widziałam nic poza ciemnością z obu stron.

Oparłam się na łokciach, żeby nie leżeć jak łamaga na środku drogi, ale po kilku próbach przesunięcia się na pobocze opadłam wykończona na plecy. Teraz oddychałam już jak parowóz, a moje mięśnie paliły żywym ogniem. Przesadziłam z wysiłkiem, pokonanymi kilometrami i narzuconym tempem.

W Barcelonie starałam się dbać o swoją kondycję. W każdej wolnej chwili uprawiałam jogging lub odwiedzałam siłownię. Niestety, ostatnio ciągle brakowało mi na wszystko czasu, więc w sumie nie powinno mnie dziwić, że czułam się wycieńczona. Wydawało mi się wręcz, że zaraz zemdleję.

*Świetnie, panno Montemayor – rugałam się w myślach. Nie dość, że wpadłaś na głupi pomysł, to jeszcze postanowiłaś zrealizować go wieczorem.*

Podniosłam się do siadu. Kątem oka zauważyłam snopy światła wyłaniające się zza zakrętu. Liczyłam po cichu, że kierowca nie będzie jechał jak szalony i zauważy kobietę siedzącą na środku drogi.

Samochód zmierzał wprost na mnie, a ja jedynie westchnęłam z powodu bezradności, swojej głupoty i braku pomysłu na wybrnięcie z tej porąbanej sytuacji.

Byłam spocona, zmęczona, a do tego obolała i poraniona. Wi-sienką na torcie były problemy z kostką.

*Obraz nędzy i rozpaczcy, i to dosłownie.*

– Jasna dupa – rzuciłam roztrzęsiona.

Luna biegała wokół mnie, podskakując i piszcząc. Instynktownie wyczuwała zbliżającą się katastrofę. Kurz unosił się i oblepiał każdy skrawek mojej nagiej skóry. Coraz głośniejsze piski psa zaczęły zagłuszać dźwięk zbliżających się pojazdów. Na pewno były dwa, a może nawet i więcej.

Domyśliłam się, że w jednym z nich jedzie właściciel tej wypasionej, luksusowej rezydencji, ponieważ nasi pozostali sąsiedzi byli w większości starszymi ludźmi, więc o tej porze albo oglądali coś w telewizji, albo spali.

Samochód zaczął zwalniać. Zatrzymał się kilka metrów przede mną, a po sekundzie usłyszałam trzask drzwi. Ktoś się do mnie zbliżał, ale oślepiające światła mocno ograniczały mi widoczność.

Siedziałam jak sierotka na środku drogi w towarzystwie labradora, który teraz przede mną klapnął. Mężczyzna zatrzymał się przed Luną i pogłaskał ją po pysku, na co ta wariatka pomachała radośnie ogonem.

Stał przede mną wysoki, napakowany jak prawdziwy kulturysta, łysy mężczyzna i przyglądał mi się rozbawiony. Gdybym spotkała

go w Barcelonie w którejś z bocznych uliczek, do tego późno w nocy, byłabym przerażona. W Montblanc jednak zawsze czułam się bezpiecznie. Łudziłam się, że może pracuje dla właściciela twierdzy lub jest jego znajomym, więc nie powinien mi zagrażać, a wręcz przeciwnie, mógł się okazać moim wybawieniem.

Nie odezwał się ani słowem. Tylko się na mnie gapił, niezmiennie głaszcząc zadowoloną Lunę, a ja, zaskoczona jego widokiem i zachowaniem, próbowałam pozbierać myśli.

– Pomożesz mi? Czy będziesz tak stał i milczał? – Rozłożyłam szeroko ręce, wyrażając tym gestem zniecierpliwienie.

Potężny facet udawał niemowę, co mnie coraz bardziej irytowało. W końcu jednak się odezwał:

– Co się stało, księżniczko? – Jego tubalny głos idealnie pasował do tej góry mięśni, czarnego garnituru i dziwnego poczucia, że mam do czynienia z niebezpiecznym facetem.

Z mojej perspektywy miał chyba z dwa metry wzrostu, a do tego był szeroki jak szafa. To wszystko razem dawało naprawdę niezły efekt.

– Jeśli pożyczysz mi telefon i pomożesz usiąść na poboczu, to zrobisz dobry uczynek. Nie tylko przestanę tarasować drogę, ale też będę ci dozgonnie wdzięczna. – Podniosłam odważnie podbródek, czym chciałam pokazać nieznanemu, że się go nie boję i powinien traktować mnie poważnie.

– Ponowię pytanie, bo najwyraźniej nie rozumiałaś. Co ci się stało? – mruknął łagodniej, ale dalej utrzymywał tę swoją dominującą postawę.

*Uparty osioł!*

– O Boże! – jęknęłam zrozpaczona. Nie chciałam ani robić z siebie ofiary losu, ani tym bardziej sprawiać mu kłopotu, jednak wyglądało na to, że wielkolud nie odpuści i będzie tak stał, aż w końcu wyznam mu wszystko jak na powieści. – Dobra – poddałam się po

krótkiej chwili. – Biegłam, potknęłam się, chyba skręciłam kostkę, a jakby tego było mało, to zdarłam sobie kolana i dłonie. – Po tych słowach pokazałam mu zakrwawioną i opuchniętą skórę.

Wyraźnie zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał, po czym przytaknął i już otwierał usta, żeby coś odpowiedzieć, ale oboje usłyszeliśmy wołanie.

– Pedro! – Zbliżał się do nas kolejny mężczyzna, stawiając stanowcze kroki.

Skądś znałam ten głos...

– Szef się niecierpliwi.

Mężczyzna zatrzymał się obok łysego wielkoluda, wsuwając dłoń do kieszeni ciemnych spodni, a gdy przeniósł na mnie spojrzenie, jego brwi podeszły do góry, a oczy rozszerzyły się w niedowierzaniu.

I pewnie ja wyglądałam zupełnie tak samo.

– Martin?! – wydusiłam, ledwo dostrzegając w stojącym przede mną dorosłym mężczyźnie przyjaciela z dzieciństwa.

– Bella?! – Podeszedł bliżej, a gdy kucnął, przez moment przyglądaliśmy się sobie równie zaskoczeni. – Tak dawno cię nie widziałem – szepnął miękkiem głosem, kiedy opadł na kolana, i zamknął mnie w niedźwiedzim uścisku.

Wtuliłam się w niego i choć pachniał inaczej, niż zapamiętałam, to rozpoznałam w nim kogoś bliskiego.

– To niesamowite. – Czule pogłaskał mnie po głowie. – Skąd się tu wzięłaś?

– Chciałam trochę pobiegać, pooddychać świeżym powietrzem... A skończyłam, siedząc na środku drogi ze skręconą kostką. Chyba. Martin, nie dam rady wstać, bo kolana... – Pokazałam mu zadrapania, by się usprawiedliwić.

– Bella, już wszystko okej. Zajmę się tobą. – Chwycił mnie pod kolanami, drugą ręką objął w pasie, a następnie zupełnie bez wysiłku wyprostował się, trzymając mnie jak pannę młodą.

Dopiero teraz przyjrzałam się bardziej męskim, wyostrzonym rysom jego twarzy. Nie widziałam go z dobrych dziesięć lat.

– Jesteś jakiś większy, starszy, poważniejszy.

– Minęło sporo czasu. – Uśmiechnął się szeroko.

Łysy chrząknął ze zniecierpliwieniem, co zwróciło naszą uwagę. Stał wciąż w tym samym miejscu, tyle że teraz skrzyżował ręce na klatce i z kąpiącym uśmiechkiem gapił się na nas rozbawiony.

– To co robimy z księżniczką? – zapytał oschle, przeniósłszy wzrok na Martina.

– Muszę ją odwieźć do szpitala. Trzeba sprawdzić, czy kostka jest skręcona, oczyścić zadrapania. Nie wiem...

– Pedro! Martin! Co tu się, do kurwy nędzy, wyprawia?! Czekam w samochodzie od pięciu minut, a nawet piechotą już dawno byłbym w domu! – Szorstki, zachrypnięty głos przeciął powietrze niczym strzała.

Ten niespodziewany dźwięk lekko mnie przeraził. Zadrżałam, podświadomie przeczuwając, że za moment dostanę ostrą reprimendę lub coś znacznie gorszego.

– Bella, jesteś bezpieczna. Nic ci nie grozi. – Martin objął mnie ciałnie, jakby chciał zapewnić mi ochronę przed zbliżającym się zagrożeniem.

Wpatrywałam się w mężczyznę, który kroczył pewnym krokiem w naszą stronę. Światła samochodu za jego plecami sprawiały, że podchodził otulony łuną. Wyglądało to mrocznie, ale też niesamowicie.

*Facet ma wejście.*

Domyślałam się, kim jest. Sądząc po głosie i wyczuwalnym wkurwieniu emanującym z jego ciała, raczej nie należał do miłych facetów.

Przeczuwałam, że nie będzie miło.

Mama podczas śniadania tylko o nim napomknęła, za bardzo nie wnikając w szczegóły, choć miałam wrażenie, że ukrywa przede mną coś szalenie istotnego.

– Szefie... – Pedro przerwał ciszę lekko zaniepokojonym głosem.

*No, skoro nawet on się boi, to znaczy, że powinnam zwiewać gdzie pieprz rośnie. Trudność polega na tym, że nie dałabym rady uciec za daleko, kulejąc na jedną nogę.*

– Na drodze znalazłem dziewczynę – wyjaśnił po chwili milczenia.

– Nie obchodzi mnie, co, kurwa, robisz w swoim wolnym czasie i ile dam ratujesz z opresji, ale teraz jesteś w pracy, a ja nie mam czasu na jakieś łzawe sceny! – zripostował, zatrzymując się kilka kroków od nas.

To, że był nieczułym chamem i prostakiem, wiedziałam już od pierwszego wypowiedzianego zdania, ale to, co teraz zobaczyłam, na pewno nie wynikało z szoku czy wstrząśnienia mózgu, bo przecież nie uderzyłam się w głowę podczas upadku: on wyglądał wręcz oszałamiająco. A to było cholernie niesprawiedliwe.

Zdecydowanie przykładał wagę do wyglądu. Był wysoki i rozbudowany w barkach, co podkreślał garnitur, który przylegał do jego ciała jak druga skóra, uwydatniając wysportowaną sylwetkę. Mężczyzna ewidentnie spędzał sporo czasu na siłowni.

Był przystojny, ale w taki surowy, brutalny sposób. Z jego postawy emanowały władza, a przede wszystkim wkurwienie. Napiął całe ciało, jego nozdrza falowały przy każdym wydechu, a ostry głos jasno ostrzegał przed dyskusją czy sprzeciwem. Wyglądał na mężczyznę zimnego niczym kraina skuta lodem.

Złodowaciały, zarozumiały i zdystansowany. Trzy razy „Z” idealnie podsumowało moje pierwsze wrażenie.

Na moment zapadła cisza. Wpatrywał się w moje oczy, co sprawiło, że poczułam oblewające mnie pod naporem jego spojrzenia ciepło, jakby wypalał laserem dziurę w mojej skórze.

Dotarł do mnie jego zapach, totalnie przytłaczając ten, który czułam, tkwiąc w ramionach Martina. Nieznajomy pachniał jakąś

słodczyą, może pomarańczami. Chwilę później poczułam jednak ostrzejszy aromat korzennych przypraw, wymieszany z drzewną mocną nutą, pociągająco agresywną.

*Taki palant, a pachnie zachwycająco i na szczęście nieosiągalnie. Ten świat jest szalenie niesprawiedliwy* – prychnęłam w myślach.

– Czy mogłaby pani sama wrócić do domu, czy konieczna jest eskorta dwóch moich pracowników? – zapytał z wyraźnym sarkazmem w głosie.

Jego absurdalna sugestia w sekundę wyrwała mnie z bezczelnego taksowania jego sylwetki. Wcale nie potrzebowałam eskorty, tylko niewielkiej pomocy, dzięki której zniknęłabym jak kamfora.

Od kilku lat byłam właściwie niezależna. Nie znosiłam sytuacji, kiedy faceci traktowali mnie jak bezmózgą panienkę. Takich palantów spotykałam na co dzień. Byłam uczulona na arogancję i chamstwo, czym nieznajomy grzeszył aż nadto.

– Dla pana wiadomości – zaczęłam chłodno – gdyby nie skręcona kostka, z pewnością wołałabym pana nie spotkać. Niestety nie zawsze mamy to, czego pragniemy, więc przykro mi, że zabrałam panu pięć minut cennego czasu, które przesiedział pan beczynnie w samochodzie, zamiast iść do domu! No chyba że pan też ma skręconą kostkę? – zapytałam rozzłoszczona jego całkowitym brakiem empatii.

Mój przyjaciel nabrał powietrza do płuc, co tylko mi uświadomiło, że może delikatnie przegięłam, zwracając się w ten sposób do jego naburmuszonego szefa.

– Masz niewyparzoną buźkę...

– Nie przypominam sobie, żebyśmy przeszli na „ty” – syknęłam, wrywając się z ramion Martina.

Nie czułam gruntu pod nogami, co nie było komfortowe, szczególnie podczas starcia z nieuprzejmym gburem. Dawny przyjaciel postawił mnie ostrożnie na jednej nodze, dalej trzymając w talii



i asekurując przed upadkiem, co wykorzystałam i lekko się o niego oparłam.

– Dobra. – Nieznajomy wyraźnie rozjuszony przecesał palcami gęste, hebanowe włosy. Wyglądało na to, że postanowił zakończyć to niezbyt miłe spotkanie, na które ani ja, ani on nie mieliśmy ochoty, a przede wszystkim czasu. To nie był najlepszy moment na zawieranie nowych znajomości, a sądząc po naszej rozmowie, nie zostaniemy dobrymi znajomymi. Nigdy. – Martin? Rozumiem, że znasz panią...?

– Montemayor – dokończył przyjaciół, po czym odchrząknął nerwowo. – Oczywiście. Przyjaźniliśmy się w dzieciństwie.

– Rozumiem. Zatem zadzwoń do Berty i powiedz jej, co się stało. Niech przyjedzie i zajmie się panią Montemayor.

– Nie ma takiej potrzeby – wtrąciłam. Rozmawiali o mnie, jakby mnie tu nie było. Bezcelnie mnie ignorowali. – Poradzę sobie. Potrzebuję tylko telefonu. Zadzwońę po tatę...

– Absolutnie się nie zgadzam. Jesteś na moim terenie, więc mam obowiązek się tobą zająć. Nawet nie dyskutuj! Na Boga! – Lekko podniósł głos, ale i dłoń, stopując wiązanek sprzeciwu, którą miałam już na końcu języka. – Berta sprawdzi, co z kostką, i opatrzy zardrapania, a później Martin odwiezie cię do domu. Koniec rozmowy.

Po tych słowach ruszył przed siebie; wyjął telefon, a chwilę później pogrążył się w rozmowie.

– Wsiadajcie – rozkazał Pedro.

– Ale ja nie... – zaczęłam zdumiona przebiegiem rozmowy.

Nie zamierzałam korzystać z pomocy aroganckiego nieznajomego w większym stopniu, niż to było konieczne, a już w ogóle nie planowałam wchodzić do jego domu.

– Nawet nie mam siły tego słuchać – oznajmił Pedro zmęczonym głosem. – Martin, zajmij się nią, jej kostką i w ogóle.

– Ale co z Luną? – jęknęłam z bezradności.

Szybko pogodziłam się z myślą, że nie mam nic do powiedzenia, a telefonu i tak by mi nikt nie pożyczył.

– Ja pierdolę. – Pedro zerwał się z miejsca, a następnie zgarnął mnie na ręce tak nagle, że mimowolnie pisnęłam. – W takim razie ja zajmę się księżniczką, a ty psem – rzucił w kierunku Martina.

– Jasne, Pedro. – Dawny przyjaciel mrugnął do mnie, co miało mnie pewnie uspokoić, ale niestety nie przyniosło spodziewanego efektu.

Nieznajomy o imieniu Pedro niósł mnie właśnie do podejrzanego samochodu, a ja czułam się jak bezbronna owieczka prowadzona na rzeź.

Jedynym jasnym punktem w tej całej porąbanej sytuacji był fakt, że znałam Martina, i choć długo się nie widzieliśmy, to byłam przekonana, że nie pozwoli mnie skrzywdzić.



## SANTINO

Wkurwiony nieoczekiwanym spotkaniem pyskatej blondynki, ruszyłem do rezydencji. Czułem potworne zmęczenie, głód i wściekłość. Czekąco mnie jeszcze sporo pracy i choć wiedziałem, że wieczorny spacer jeszcze nikomu nie zaszkodził, to i tak wytrąciło mnie to z równowagi.

Pokręciłem z niedowierzaniem głową. Wyglądało to tak, jakby Pedro i Martin kompletnie ogłupieli na jej widok. Jej blond włosy seksownie okalające twarz w połączeniu z ogromnymi czarnymi oczami, które zawzięcie mrużyła, chcąc mi okazać swoją niechęć, sprawiały, że wyglądała naprawdę apetycznie.

Dawno nikt nie zwracał się do mnie w ten sposób. Ten jej niewyparzony język był niczym pobudzający powiew świeżości. Zazwyczaj ludzie wiedzieli, z kim mają do czynienia, więc albo trzęśli przede mną portkami, zwracając się do mnie z szacunkiem, albo zabiegali o uwagę, włączając mi w dupę.

Od dawna nikt nie podniósł na mnie głosu, nie warczał ani też nie podważał moich decyzji.

Ciekawe, kim była ta urocza nieznajoma. Nie znała mnie, więc raczej nie była stąd.

Jej nazwisko kojarzyło mi się z sąsiadami.

*Może odwiedzała rodzinę albo przyjechała na wakacje?*

– Genialnie. Po prostu genialnie – wymamrotałem z frustracją, przeczesując palcami włosy, bo nie znosiłem niewiedzy lub poczucia, że coś mi umyka.

Ochroniarze strzegący posiadłości kiwnęli głowami, ale nie zdołali ukryć zdziwienia wymalowanego na twarzach. Zazwyczaj siedziałem na tylnej kanapie samochodu, ukryty za przyciemnianymi szybami.

Po minucie spaceru drogą otoczoną drzewami pomarańczy ominąłem ogromną fontannę zlokalizowaną na środku podjazdu i jak tylko postawiłem stopę na pierwszym stopniu, tuż przed rezydencją pojawiły się cztery czarne SUV-y. Zaparkowały jeden za drugim, a chwilę później, jak na sygnał, z każdego wozu poza pierwszym wysiadło po trzech mężczyzn.

Ochroniarze zniknęli za budynkiem głównym, gdzie jakiś czas temu postawiłem nieduży dom, czym ułatwiłem życie sobie i pracownikom, ponieważ część z nich mogła mieszkać w nim na stałe.

Pedro pochylał się przy otwartych tylnych drzwiach pierwszej wozu. Kiedy się wyprostował, trzymał już pyskatą blondynę na rękach, a do mnie dotarło, że przecież miał się nią zająć Martin. Rozejrzałem się rozdrażniony i natychmiast dostrzegłem go na drodze wjazdowej na teren posesji – szedł z labradorem spacerującym grzecznie przy jego nodze.

Pedro zatrzymał się przede mną z kobietą trzymaną w ramionach, a ja wreszcie mogłem się jej przyjrzeć i musiałem przyznać, że była jedną z tych kobiet, które są atrakcyjne i pociągające nawet w zakurzonym ubraniu, z naburmuszoną miną i groźnie zmrużonymi oczami, ciskającymi w moją stronę błyskawice.

Była zniewalająca i zastanawiające było to, że dopiero teraz ją spotkałem.

– Szefie. Berta zaraz będzie – zapewnił podenerwowany Martin, patrząc na mnie niepewnie.

– Będę w gabinecie, gdyby działo się coś niepokojącego. – Bez pożegnania ruszyłem po schodach do wnętrza rezydencji.

Takie ślicznotki zwiastowały poważne kłopoty. Miałem trochę oleju w głowie, żeby nie komplikować sobie życia. Ani teraz, ani w najbliższej przyszłości.

– Martin! – Nagły wrzask nieznajomej spowodował, że odruchowo zerwałem się z miejsca i wybiegłem z domu. – Weź ją! Te kwiaty są trujące dla Luny!

Pedro próbował utrzymać szarpiącą się kobietę, ale choć był potężnym facetem, a ona należała do filigranowych, szło mu nawet gorzej niż mizernie.

Pies świetnie się bawił z Martinem. Machał radośnie ogonem i uciekał mu za każdym razem, gdy ten próbował go złapać za obrozę. Nie zanosilo się na szybkie opanowanie sytuacji, więc niewiele myśląc, zbiegłem po schodach.

– Pomóż mu – rozkazałem, czym zaskoczyłem Pedra, choć nie tylko jego.

Gdy ślicznotka mnie usłyszała, zamarła, a ja, korzystając z jej chwilowego szoku, złapałem ją i instynktownie przytuliłem. Otoczyła mnie nogami w pasie i szybko przywarła całym ciałem. Ręce położyła na moich barkach i uwiesiła się na mnie.

Przez krótki moment trwała nieruchomo, ale odgłosy zabawy psa z Martinem ponownie przyciągnęły jej uwagę, więc przekreśliła głowę, chcąc zobaczyć, co się dzieje. Jej pełne wargi prawie otarły się o moje, ale w ogóle tego nie zauważyła.

Staralem się opanować emocje i niewytłumaczalną ekscytację.

*Pachnie czymś świeżym. Jakąś delikatną słodyczą...*

Samo trzymanie jej w objęciach było niewinne, ale już dawno dotyk kobiety nie budził we mnie tak gwałtownych, niezrozumiałych i silnych emocji. Czasy młodzieńczych niepohamowanych żądy już dawno minęły, a szczeniackie popędy przemieniły się w klarowne potrzeby, regularnie zaspokajane.

Z rozmyślań wyrwał mnie głośny pisk nieznamomej. Dodatkowo zaczęła się kręcić w moich objęciach, co sprawiło, że natychmiast się otrząsnąłem i ponownie rozejrzałem dookoła. Martin leżał na trawie, a pies lizał go po twarzy. Dzięki temu Pedro podszedł zwierzę z zaskoczenia, skradając się od tyłu, i już bez żadnych problemów złapał je za obrozę.

– Chryste! – Dziewczyna jęknęła z ulgą.

Rozluźniła się i pewnie zupełnie nieświadomie położyła głowę na moim ramieniu. Drżała z nerwów, a jej ciepły oddech omiatał moją szyję.

Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego czułem palącą potrzebę, by ją pocieszyć. A jednak wbrew zdrowemu rozsądkowi, dalej trzymałem ją jedną dłonią w pasie, a drugą uspokajająco gładziłem po plecach.

– Co tu się dzieje? Słyszałam jakieś krzyki i ujadanie psa.

Mama skakała wzrokiem pomiędzy mną a pracownikami, którzy trzymali za obrozę wyrrywającego się psa.

Blondynka podniosła głowę i kompletnie nie zwracając na mnie uwagi, spojrzała w kierunku domu.

– Maribel? To ty, dziecko?

Mama zaskoczyła mnie znajomością pyskatej istoty.

– Tak. Dobry wieczór, pani Torres. Przepraszam za zamieszanie, ale miałam mały wypadek i... – Przerwała i odwróciła głowę.

Spojrzeliliśmy sobie prosto w oczy.

Była tak blisko, że wystarczyło się minimalnie nachylić, a poznalbyśmy smak jej warg.

Po moim kręgosłupie przeszedł elektryzujący dreszcz. Reagowałem na nią jak rozgorączkowany młokos.

– Santino. – Błądziłem wzrokiem po jej ślicznej buzi, ale najbardziej przyciągały mnie jej czarne jak noc oczy, których przesywająca głębia wnikała wprost do mojej duszy.

– Tak, właśnie. Santino zaproponował mi pomoc, więc nie mogłam odmówić – przyznała nieśmiało, co sprawiło, że uśmiechnąłem się pod nosem, rozbawiony jej małym kłamstwem. – Luna mi towarzyszyła. Wpadła przed chwilą w oleander i przestraszyłam się, że przypadkiem coś zje. Ma już swoje lata i słabo widzi.

Jej ciało ponownie zadrżało, więc zupełnie nie kontrolując odruchów, objąłem ją mocniej, chyba po to, by dodać jej otuchy, albo powoli traciłem przy niej rozum.

Z zaskoczenia lekko rozchyliła usta, co jeszcze bardziej mną wstrząsnęło. Wpatrywałem się w jej pełne, miękkie wargi, a po mojej głowie zaczęły krążyć bardzo nieprzyzwoite myśli, co było bardzo, ale to bardzo nie na miejscu.

Mama podeszła bliżej, obdarzając nas przebiegłym uśmiechem, więc obawiałem się, że coś zdążyło się jej uroić w głowie.

– Dziecko, zaraz się tobą zaopiekujemy. Dzwoniłaś do mamy? Pewnie się o ciebie martwi.

– Nie. Zapomniałam telefonu. – Ponownie przeniosła na mnie wzrok, ale teraz był pełen pretensji, co w pierwszym momencie nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia.

Po sekundzie jednak zrozumiałem, że mogłem jej przecież pożyczyc pieprzony telefon, o którym mówiła, bo w sumie to nawet nie zapytałem, ile siedziała na tej przeklętej drodze.

– Zaraz to naprawimy – zawyrokowała Blanca, przejmując ster. – Martin! Pedro! Zaprowadźcie psiaka do tylnego wejścia. Tam

dostanie wodę i może w lodówce znajdzie się coś do jedzenia. I weźcie też coś, żeby go przywiązać. Oleander faktycznie jest trujący.

Mama przyglądała się nam z zainteresowaniem, czym wprowadziła Maribel w zakłopotanie. Kobieta zaczęła się wiercić w moich objęciach.

– Mogę iść sama. Tylko musiałbyś... – wydusiła, badawczo mi się przyglądając.

Przerwałem jej w pół zdania:

– Nie ma mowy. Jeśli skręciłaś kostkę, to nie możesz jej nadwyreżać. Zaniósę cię.

Może i wcześniej dałem się poznać jako nieuprzejmy cham, ale to nie oznaczało, że nie zdążyłem pójść po rozum do głowy.

Potrzebowała mojej pomocy, ale był też drugi powód: czerpałem przyjemność z trzymania jej w ramionach. Mój umysł zalewały absurdalne myśli. Chciałem mieć ją blisko tak długo, jak to tylko możliwe. Później pewnie do siebie wróci albo wyjedzie.

Nie znałem jej. Nie wiedziałem, czym się zajmuje ani jaka jest. Może nawet była mężatką. Sporo tych niewiadomych, a nakręcanie się nie było w moim stylu.

Dopiero skończyłem trzydziestkę. Aktualnie korzystałem z życia bez zaciśniętych na nadgarstkach kajdanek wierności i obroży małżeństwa na szyi. Tak było mi dobrze, wręcz rewelacyjnie.

– No to chodź, synu. Zaopiekujemy się Maribel – zachęciła śpiewnie Blanca, uśmiechając się radośnie.

*Tak jak myślałem, mama będzie się teraz zachwycać urodą Maribel.*

– Nie chciałabym panu sprawić kłopotu – szepnęła, gdy wchodziłem z nią po schodach. – Przepraszam za zamieszanie z Luną. No i za garnitur. Jestem trochę zakurzona i... – W jej oczach zobaczyłem szczerą skruchę.

– Niczym się nie przejmuj, Maribel – wymruczałem nisko, czym zwróciłem jej uwagę.



– Nie powie... – Odpuściła w pół słowa i odwróciła głowę, wyraźnie strzelając focha, jakbym popełnił jakąś zbrodnię, że zwróciłem się do niej po imieniu.

Maribel okazała się nie tylko urzekająca i zadziorna, lecz także uroczo humorzasta.

*Chryste! Uroczo humorzasta? Co się ze mną dzieje?*

Zostawiłem gościa wraz z mamą w salonie, a sam ruszyłem do gabinetu.

Jakiś czas później zjrzała do mnie gospoia Pilar, niosąc w rękach niewielką porcję gęstej zupy. Pora była późna, ale gospoia doskonale wiedziała, że nie zasnę głodny. Jak tylko postawiła talerz na biurku, zamknąłem klapę laptopa i sięgnąłem po łyżkę.

– Przepyszne – przyznałem, spróbowawszy posiłku. – Dziękuję. Byłem głodny jak wilk.

– Na zdrowie, chłopcze.

Pilar nie ruszyła się z miejsca, więc podniosłem na nią wzrok. Zauważyłem w niej to samo podekscytowanie, co wcześniej w oczach mamy.

– Berta opatrzyła kostkę Maribel i usztywniła staw bandażem elastycznym. Ponoć to tylko lekkie skręcenie, więc to jej wieczorne bieganie na szczęście nie skończyło się najgorzej. A co do zdartych kolan i dłoni, to oczyściła rany, czymś je posmarowała i też owinęła bandażem.

– I mówisz mi to, bo...? – zapytałem z uniesionymi brwiami.

– Bo na pewno się martwisz. Znam cię, odkąd zacząłeś używać nocnika, więc wiem, że lubisz zgrywać twardziela. Ale ja i tak wszystko widzę – zripostowała twardo, po czym wyszła, zanim zdążyłem odpowiedzieć.

– Co za upierdliwa baba. – Roześmiałem się pod nosem.

Po posiłku odgoniłem natrętne myśli, które co chwila powracały do pyskatej blondynki, i zająłem się pracą.



## MARIBEL

Poranek przywitał mnie lekkim bólem głowy, choć bolały mnie też inne części ciała. Zwłaszcza kostka. Mimo że nie była poważnie skręcona, to i tak czułam w niej lekki dyskomfort, co przypominało mi o wczorajszym upadku i całym tym groteskowym zbiegu okoliczności.

Zegarek na szafce nocnej wskazywał kilka minut po dziewiątej. Porozciągałam zastane mięśnie, które po morderczym biegu wyraźnie dawały o sobie znać, i rozejrzałam się po pokoju. Nic się tu nie zmieniło przez ostatnie lata, kiedy to przebywałam w domu rodzinnym kilkanaście dni w roku.

Dzięki temu za każdym razem, gdy przyjeżdżałam, wspomnienia beztruskich młodzięcych lat wracały, rozgrzewając moje stęsknione serce.

Większą część nocy przewracałam się z boku na bok, nie mogąc zasnąć, ale też nieustannie czując niewytłumaczalne podekscytowanie po spotkaniu Torresa. Było w nim coś surowego, a jednocześnie potwornie apetycznego. Emanowała z niego niewidzialna

pierwotna siła, a twarde mięśnie, które wyczułam pod idealnie skrojonym garniturem, wskazywały, że – jak słusznie wcześniej podejrzewałam – poważnie podchodzi do utrzymywania ciała w doskonałej kondycji.

I pomyśleć, że taki przystojniak ukrywał się w ogromnej posiadłości za wysokimi murami niedaleko mojego domu rodzinnego. Oczywiście oprócz ładnego opakowania i tych zniewalająco niebieskich oczu był okropnym bucem, a dodatkowo jego cholernie irytująca pewność siebie wyraźnie dominowała nad oszałamiającym wyglądem.

Na bank był kobieciarzem. Z takim wyglądem grzechem byłoby nie korzystać z uroków kawalerskiego życia.

*Ale zaraz... Może w tej nowoczesnej rezydencji kryła się jego żona lub narzeczona? Pani Torres nic o tym nie wspominała, ale w sumie też nie pytałam, więc wszystko możliwe. Nieważne. I tak mnie to nie obchodzi.*

Miałam sprecyzowane plany na przyszłość. Czasami zdarzały mi się chwile szaleństwa, ale zazwyczaj wszystkiemu winna była moja przyjaciółka Diana. To ona wpędzała mnie w tarapaty albo wyciągała na imprezy, podczas gdy ja byłam głosem rozsądku. Dopełniałyśmy się idealnie i chyba tylko dzięki temu skończyłyśmy studia z bardzo dobrymi wynikami, nie robiąc większych głupot w ciągu ostatnich kilku lat mieszkania w Barcelonie.

Rodziców zastałam w kuchni. Mama stała przy oknie, zawzięcie mieszając coś w misce. Tata siedział przy stole z gazetą w ręku i popijał czarną jak smoła kawę.

Do idealnego obrazka rodziny brakowało tylko mojego brata bliźniaka Roberta, który po tym, jak wyjechał do Madrytu na studia, rzadko odwiedzał rodziców. Podobnie jak ja pracował w czasie studiów, a odkąd znalazł swoją drugą połówkę i się zaręczył, czasu miał jeszcze mniej. Planował przyjechać do Montblanc z Eleną za

tydzień, więc już się cieszyłam na to spotkanie. Mieliśmy sporo do nadrobienia.

Podczas śniadania spodziewałam się wypełnionej pretensjami konstruktywnej pogadanki. Kiedy wróciłam wczoraj do domu, a w zasadzie kiedy Martin przyniósł mnie na rękach, uspokoiliam ich tylko, że ze mną wszystko okej, i zamknęłam za sobą drzwi sypialni, zbyt padnięta na przesłuchanie. Zatrzymałam się przy Lunie, która rozłożona w swoim legowisku cicho pochrapywała, i pogłaskałam ją za uchem.

– Cześć – rzuciłam luźno.

Atmosfera była tak gęsta, że można ją było ciąć nożem. Wszystko wskazywało na to, że rodzice zaraz rozkręcą konkretną aferę. Kiedy usiadłam, tato gniewnie na mnie spojrział, po czym powolnym ruchem ściągnął okulary, złożył gazetę na pół i splótł palce dłoni, cały czas przenikliwie mi się przyglądając.

Czekała nas rozmowa. Ja będę zmuszona zdać relację z wczoraj, a oni zapewne przygotowali się już do wygłoszenia gadki wychowawczej o braku odpowiedzialności i ryzyku, jakie wynikało z biegania w samotności po odludziu.

– No więc słucham, młoda damo... Co się wczoraj dokładnie wydarzyło?

Odetchnęłam głęboko, a następnie opowiedziałam o niefortunnym biegu, z premedytacją pomijając kilka szczegółów.

W międzyczasie mama wstawiła frittatę na palnik i usiadła obok, by posłuchać opowieści.

– Jak więc widzicie, nic takiego się nie stało. – Rozłożyłam szeroko ręce, co sprawiło, że oboje zwrócili uwagę na dłonie owinięte bandażem.

– Dobrze, że Martin przywiózł z samego rana maści na te rany. Nie mam nic odpowiedniego w domowej apteczce, zwłaszcza takiego na receptę.

– Był tutaj?

– Tak. Jakąś godzinę temu.

– Nie rozumiem – szepnęłam zdezorientowana.

– Przyniósł tylko torbę z lekarstwami i powiedział, że to dla ciebie. Ponoć pan Torres wydał polecenie, żeby dostarczył ci niezbędne leki przepisane przez lekarza. Są tam maści, tabletki przeciwbólowe i okłady na kostkę. – Mama zmrużyła lekko oczy, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Okej – przytaknęłam niepewnie.

Tata z założonymi na klatce rękami przyglądał mi się tak intensywnie, jakby próbował czytać w moich myślach. Pracował w liceum jako nauczyciel matematyki, więc potrafił z powodzeniem rozpracowywać zachowania młodych ludzi w kilka sekund i zmuszać ich do mówienia.

– Maribel, jesteś dorosła i nie mamy prawa ci niczego zabraniać, ale cholernie się o ciebie martwiliśmy. Nie dość, że wyszłaś z domu po zmroku, to jeszcze nie zabrałaś komórki. Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co przeżywaliśmy, gdy nie wracałaś? Szukałem cię, Maribel. A jak się okazało, wyjątkowo pobiegłaś w przeciwną stronę niż zwykle. Co ci strzeliło do głowy?! – Po groźnej minie można było poznać, że porządnie się wkurzył.

Już dawno nie widziałam go w podobnym stanie. Niestety rodzice mieli trochę racji. Zachowałam się nieodpowiedzialnie i mogło mnie spotkać coś dużo gorszego. Sama nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby na drodze nie pojawił się Torres.

*Czy dostałabym się do domu o własnych siłach? Raczej nie...*

– Przepraszam. Macie rację. Słabo to wczoraj wyszło. Ale wszystko dobrze się skończyło, prawda? – Przeskakiwałam skruszonym wzrokiem między rodzicami.

– Tak, ale nawet nie myśl, że ta sytuacja się powtórzy. Bieganie po zmroku odpada, a w pojedynkę to już w ogóle.

– Ale o czym ty mówisz? Przecież opuchlizna zejdzie za kilka dni, może tydzień, i będę mogła...

– Nie ma mowy. Ta okolica nie jest już tak bezpieczna, jak kilka lat temu. Kręcą się tu różni ludzie. Nie zdajesz sobie sprawy z niebezpieczeństwa, więc dopóki nie masz z kim biegać, to siedzisz na tyłku. Koniec rozmowy. – Tata zgarpnął ze stołu kubek z kawą i zostawił nas same w kuchni.

Mama nawet nie próbowała ukryć radości z faktu, że to ojciec odgrywał podczas rozmowy rolę złego policjanta. Zazwyczaj to ona wyznaczała twarde granice.

– Mamuś, o co tu chodzi? Mam coś na kształt szlabanu? Naprawdę? – zapytałam zaskoczona.

Mama pokiwała delikatnie głową, po czym podeszła do kuchenki, żeby sprawdzić, co z moim śniadaniem.

– Na to wygląda, córciu. Bałam się o ciebie. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale okazało się, że telefon zostawiłaś w domu. Dwie godziny po twoim wyjściu tata poszedł cię szukać. Gdy wrócił i stwierdził, że nigdzie cię nie ma, naprawdę myślałam, że coś ci się stało.

– Rozumiem.

Choć wiedziałam, że odrobinę przesadzili z reakcją, w końcu nie miałam już szesnastu lat, to i tak byłam w stanie zrozumieć, że z ich perspektywy ta sytuacja nie wyglądała najlepiej.

Wisielczy nastrój w niewielkim stopniu ratowało ciasto pomarańczowe, które zgrabnie ułożone na talerzyku, pachniało wręcz nieziemsko. Nie zamierzałam sobie odmawiać tej chwili przyjemności.



## MARIBEL

– Mamo, wujek był bardzo tajemniczy podczas rozmowy. Stało się coś? Może coś w restauracji?

– Domyślam się, ale zostawię to dla siebie...

– Jesteście gotowe? – Tato wkroczył do salonu, podrzucając w dłoni kluczyki do samochodu.

– Tak – odparłyśmy w tym samym czasie.

Z pomocą taty dotarłam do auta. Obciążanie kostki odpadało, jeśli chciałam szybko wrócić do pełnej sprawności. Wewnętrzną stronę dłoni i kolana smarowałam maścią, którą przywiózł mi Martin, i dzięki niej zadrapania powoli się goiły. A w każdym razie na tyle szybko, że bez problemu trzymałam już łyżkę lub widelec i nie byłam zmuszona prosić rodziców, aby mnie karmili, tak jak dwadzieścia lat temu.

W drodze do wujka rozmyślałam o naszej popołudniowej rozmowie. Zadzwoił do mnie kilka godzin temu, by upewnić się, że przyjadę. Jeszcze nigdy nie słyszałam w jego głosie takiej powagi i determinacji.

Czułam, że ta kolacja to tylko pretekst.

*Tylko do czego?*

Nic nie przychodziło mi do głowy.

Wujostwo wspólnie prowadziło dobrze prosperującą restaurację w centrum Montblanc, gdzie na stolik czekało się kilka dni, więc interesy szły im bardzo dobrze. Gdy byłam młodsza, często przesiadywałam w restauracji po szkole. Jej drzwi zawsze były dla mnie otwarte, ale jak tylko wyjechałam na studia, nasz kontakt lekko przygasł.

Cieszyłam się na spotkanie, mimo że nie opuszczało mnie silne przeczucie, że ta kolacja to jakaś ustawka i już niedługo przekonam się, jaki jest jej prawdziwy powód.

\*\*\*

Wujostwo mieszkało w ładnie urządzonej, klimatycznym domu z mistrzowsko zagospodarowanym ogrodem oraz niedużym basenem, umiejscowionym tuż obok zejścia z tarasu na tyłach budynku.

Popchnęłam drzwi samochodu, ale nawet nie zdążyłam postawić stóp na kamienistym podjeździe, ponieważ pojawił się przede mną wujek.

– Cześć, kruszynko – rzucił uśmiechnięty od ucha do ucha. – Wiem, że miałaś drobny wypadek, więc z przyjemnością przetransportuję cię na taras.

– Cześć. Dziękuję, wujku. – Zarzuciłam mu rękę na kark, a on zgrabnie podniósł mnie i wziął na ręce.

Tęskniłam za wujostwem. Po wyjeździe na studia nie dzwoniłam do nich zbyt często. Jak grom z jasnego nieba dopadły mnie przytłaczające wyrzuty sumienia. Nie mieli dzieci. Traktowali mnie jak córkę, a ja po prostu ich olałam, zajmując się swoim życiem.

– Maribel. – Ciocia Selena podeszła, jak tylko zajęłam miejsce na kanapie.



– Cześć, ciociu. – Przytuliłam ją mocno.

– Ale się stęskniłam, zabciu. – Cmoknęła mnie w policzek. – Wyglądasz ślicznie, choć chyba trochę schudłaś, co? – Omiotła mnie uważnym spojrzeniem.

Od zawsze uznawała mnie za niejadka, choć wcale tak nie było. Jadłam, i to sporo, ale dzięki bieganiu i wypadom na siłownię nie miałam problemu z wagą.

– Chyba raczej przytyłam – mruknęłam pod nosem.

– Głupoty gadasz. – Machnęła ręką, zbywając śmiechem moje słowa. – Pojawił się już jakiś nowy Romeo?

– Ostatni nieudany prototyp Romea nadal odbija mi się czkawką, więc aktualnie cieszę się stanem wolnym i nie planuję tego szybko zmieniać.

– Ach tak? – rzuciła z szatańskim uśmiechem.

– Ciociu, czyżbyś wiedziała coś, o czym ja nie wiem? – Przyglądałam się z zainteresowaniem rozpromienionej kobiecie, ponieważ zaciekawił mnie błysk w jej oczach.

– No co ty! – Ostentacyjnym ruchem wykonała gest sznurowania ust. – Milczę jak grób.

– Nawet nie chcę wiedzieć, o co ci chodzi. – Pokręciłam głowę, zastanawiając się nad tym, jak mogłam żyć bez wujostwa przez tyle miesięcy.

Ciocia miała niezwykle pozytywne usposobienie. Troszczyła się o wszystkich dookoła i na pewno byłaby świetną matką. A jednak nie mieli dzieci. Nigdy nie dopytywałam, co było tego przyczyną, ale wiedziałam, że próbowali, a każdy kolejny raz kończący się niepowodzeniem łamał im obojgu serca. W końcu się poddali i skupili na rozkręcaniu rodzinnej restauracji.

Podczas kolacji nie obyło się bez podtekstów, szczególnie ze strony cioci, więc najwyraźniej słyszała o moim małym wypadku podczas biegania. Co jakiś czas, niby przypadkowo, rzucała nazwiskiem

Torres. I bynajmniej nie chodziło o panią Torres i jej męża, których kojarzyłam z dzieciństwa.

Po deserze dostałam się z pomocą cioci do łazienki, a gdy z niej wyszłam, kobieta już na mnie czekała, zacierając dłonie z szatańskim uśmiechem. Pociągnęła mnie w stronę kuchni, a w zasadzie to zaprowadziła. Wspierałam się na niej, podskakując na zdrowej nodze.

– Dobra, to teraz bez świadków: gadaj, co o nim myślisz. – Skrzyżowała ramiona na piersi i gapiła się na mnie z wyraźnym podeksytowaniem.

– Ale że o kim?

– Żabciu, nie baw się ze mną w kotka i myszkę, tylko opowiadaj wszystko jak na spowiedzi. Co myślisz o Santinie? Jakie zrobił na tobie wrażenie? Coś zaiskrzyło?

– Zwariowałaś? Ciociu, zdecydowanie przesadziłaś z winem. Co ci się uroiło w tej pięknej główce? Widziałam go tylko przez moment. Zamieniliśmy dosłownie kilka zdań, ale...

– Nie sądzę, bym coś sobie uroiła. – Ostatnie słowo wypowiedziała tak, jakby chciała mnie spapugować, ale średnio jej to wyszło. – Wręcz jestem pewna, że coś kręcisz. No mówże, kobieto!

– O matko! – jęknęłam bezradnie. Wiedziałam, że ta czarownica nie da mi spokoju, póki nie nakarmię jej ciekawskiej natury jakimiś pikantnymi szczegółami. – Co ci mam powiedzieć? Że jest zabójczo przystojny? Że emanuje czymś surowym, nieosiągalnym i pociągającym? A może chcesz wiedzieć, że jego oczy mają najbardziej zniewalający odcień błękitu? Albo że jego zmysłowo wykrojone wargi na pewno potrafią bosko całować?

Zasłoniłam usta dłonią, zaskoczona jak diabli, że ciotka niespecjalnie się nawet wysiliła, a już wyciągnęła ze mnie skrywane głęboko w podświadomości myśli o Torresie, którymi nie zamierzałam się z nikim dzielić, a już na pewno nie z ciocią, do jasnej cholery!

– No nieźle – odparła roześmiana. – Tego się nie spodziewałam, ale w sumie wcale ci się, dziecko, nie dziwię. Jest niezwykle przystojny. Ciekawa jestem, czy zasnął spokojnie po spotkaniu z tobą – szepnęła jakby do siebie.

– Oszalałaś kompletnie – zripostowałam ostro. – Nic między nami nie będzie! Pochodzimy z dwóch różnych światów! Różni nas w zasadzie wszystko! Nawet nie chcę myśleć o nim w tych kategoriach, więc mnie w nic nie wkręcaj. Już więcej się z nim nie spotkam.

– Nie byłabym tego taka pewna. Koniecznie muszę się skontaktować z Blaną. Ciekawa jestem, co...

– Ciociu, daj już spokój. Jestem aktualnie zmęczona związkami, niewiernymi facetami i komplikacjami, które są związane z uczuciami. Jeszcze nie odchorowałam do końca tego ostatniego przygłupa i wolałabym nie myśleć o następnym. Pomóż mi dostać się na taras. Czuję się niepewnie w twoim towarzystwie – poprosiłam stanowczo, mrużąc groźnie oczy. – Potrafisz wyciągnąć z człowieka najbardziej skrywane sekrety. To nie skończy się dobrze.

– Chodź, zabciu. – Asekurowała mnie w powrotnej drodze. – Pamiętaj, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie życie. I nie wierz we wszystko, co o nim usłyszysz. Ludzie gadają głupoty, a to naprawdę dobry człowiek. Uwierz mi, bardzo łatwo przegapić coś ważnego, gdy zaślepi nas przeszłość.

Spojrzałam na nią, kompletnie nie rozumiejąc, dlaczego mówi do mnie w ten sposób.

*Czyżby o czymś wiedziała?*

Zagadka po części rozwiązała się pół godziny później.



## MARIBEL

Gapiłam się na wujka Carlosa wstrząśnięta, a jednocześnie zmieszana. Powoli docierał do mnie sens jego słów.

– To jest... Czy... – zaczęłam niepewnie, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

Przy stole zapadła cisza.

Po jego długim przemówieniu wszystkim spektakularnie opadły szczęki, oczywiście nie licząc cioci Seleny. To ona wraz z mężem podjęła absurdalną decyzję, by wpleść mnie w swój niewiarygodnie szalony plan.

– To znaczy jestem w szoku i nie bardzo wiem, jak zareagować, ale...

– Kruszyńko, wiem, że to dla ciebie spore zaskoczenie – wtrącił wujek – ale jesteś jedyną osobą, która mogłaby stanąć na czele La Tierry. Ufamy ci. Kochamy cię jak własną córkę. Bylibyśmy spokojni o restaurację, oddając ją w twoje ręce. Wiem doskonale, że kształciłaś się w innym kierunku i kochasz ogrody, projektowanie... ale mam szczerą nadzieję, że chociaż spróbujesz.

– Tylko że to jest totalnie bez sensu. Nie znam się na prowadzeniu restauracji. W zasadzie to nie mam o tym zielonego pojęcia – wydusiłam roztrzęsionym głosem.

Oni uważali ten pomysł za logiczny i najlepszy z możliwych, podczas gdy ja w tej chwili poczułam się tak, jakby mnie ktoś przyszpilił do muru i kazał zdecydować, czym się będę zajmować przez kolejne trzydzieści lat. Zaskoczyli mnie. Im wydawało się, że to genialne wyjście, a ja uważałam, że jest skrajnie głupie. Nawet nie potrafiłam znaleźć odpowiednich słów, żeby im odmówić, a jednocześnie nie zranić ich uczuć.

– Nie rozumiem... Dlaczego ja? – zapytałam po chwili ciszy.

– Maribel, przecież to oczywiste. – Ciocia pogłaskała uspokajająco moją dłoń. – Jesteś dla nas jak córka. Kto inny miałby odziedziczyć po nas restaurację, jeśli nie nasze dziecko? Dobrze wiesz, że twój brat jest zbyt narwany i absolutnie się do tego nie nadaje, a ty jesteś wręcz idealna. Mamy już swoje lata. Jesteśmy zmęczeni i chcemy wreszcie odpocząć. Nigdy nie wiadomo, ile zostało do końca, a marzymy, żeby wreszcie zobaczyć coś więcej niż Europę. Mamy trochę oszczędności. Planujemy wyjechać, odetchnąć, poznać nowych ludzi, przeżyć coś więcej, a nie tylko pracować...

– No to może pomyślcie o sprzedaży restauracji? – zasugerowałam nieśmiało.

Gdy Carlos to usłyszał, uderzył pięścią w stół, po czym wstał i zniknął wewnątrz domu, nawet nie oglądając się za siebie.

Selena tylko wzruszyła ramionami i patrzyła na mnie zasmucona.

– Ciociu, nie miałam na myśli nic złego. Wiem, że restauracja to całe wasze życie. Ale może warto się jednak nad tym zastanowić? Mielibyście więcej pieniędzy na podróże i spokojne życie. Nie musielibyście się przejmować przyszłością.

– Maribel, nie po to harowaliśmy przez ostatnie czterdzieści lat dzień w dzień, żeby teraz oddać naszą restaurację komuś obcemu.

To całe nasze życie. Spędzaliśmy tam każdy weekend, święta... pracowaliśmy dniami i nocami. Myślisz, że walizka gotówki wystarczy? Jesteśmy związani z tym miejscem i nigdy nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby je sprzedać, choć pojawiali się kupcy i kusili nas świetnymi ofertami. Zresztą teraz też są... – dodała ciszej, jakby nie chciała, żebym to usłyszała.

– Rozumiem. – Przeniosłam wzrok na rodziców. Od początku rozmowy milczeli jak zakłęci. – Co o tym myślicie?

– To twoje życie, córeczko. Sama musisz podjąć decyzję – odparł tata, pocierając zarost. – Nikt nie zrobi tego za ciebie.

– Carlos nie wspomniał jeszcze o testamencie – wtrąciła ciocia. Coś mi podpowiadało, że zaraz usłyszę kolejną świetną wiadomość. – Restauracja i tak będzie twoja, jeśli jednego z nas zabraknie.

– No to nieźle... – westchnęłam oszołomiona, sięgając po kieliszek wina.

Musiałam ukoić nerwy i myśli, które chaotycznie, bez najmniejszego sensu krążyły mi po głowie, ale za cholerę nie potrafiłam się skupić. Tego było za dużo, nawet jak dla mnie. I to na jeden wieczór.

Gdy opróżniłam kieliszek, tata o nic nawet nie spytał, tylko napełnił go ponownie. W przytłaczającej ciszy każdy zatopił się we własnych myślach.

Wpatrywałam się w ładnie oświetlony ogród oraz taflę mieniącą się wody w basenie.

*Ogrody...*

To właśnie kochałam. Od zawsze marzyłam o tym, żeby je tworzyć od podstaw albo zmieniać w perfekcyjnie zaprojektowane miejsca, w których można odnaleźć spokój. Pragnęłam dawać ludziom namiastkę szczęścia, tworząc wyjątkowe przestrzenie.

Wszystko miałam zaplanowane. Co prawda kilka razy przekonałam się już na własnej skórze, że plany mają się nijak do prawdziwego życia i niespodzianek, jakie szykowałam dla nas los, ale i tak

naiwnie wierzyłam, że byłam coraz bliżej spełnienia swojego marzenia z dzieciństwa.

Kiedyś lubiłam przebywać w restauracji wujostwa. Podglądać kucharzy, kelnerki, barmanów. Czułam się częścią czegoś ważnego. Uwielbiałam patrzeć na klientów restauracji, którzy przy dźwiękach pomruków i westchnień kontemplowali posiłki, a później chwalili kucharza i obsługę.

Było w tym coś magicznego, a jednak to wciąż były tylko młodzieńcze marzenia o prowadzeniu restauracji, serwowaniu wykwintnych dań i dbaniu o załogę czy klientów.

Miałam wiele cudownych wspomnień związanych z tamtym okresem, ale zastanawiałam się, czy to wystarczy, by rzucić się na głęboką wodę.

Propozycja wujka namieszała w moim poukładanym świecie. Jego słowa przypomniały mi o chwilach spędzonych w restauracji, do której biegłam codziennie po szkole, żeby coś zjeść i posiedzieć z nim w biurze, gdzie pracował. Tamte czasy już dawno minęły, ale nostalgia w sercu została, a teraz te uczucia rozbudziły się na nowo.

– Przepraszam, kruszynko. – Niespodziewanie pojawił się przy mnie, uklęknął na jedno kolano i uścisnął moją dłoń. Był wysokim facetem, więc teraz mieliśmy wzrok na tej samej wysokości. – Rozumiem, że to nieoczekiwane, ale czuję, że odnajdziesz się w restauracji. Wierzę z całego serca, że będziesz tam szczęśliwa. Gdy byłaś młodsza, ciągle w niej przesiadywałaś. Już wtedy wiedziałem, że będziesz moją następczynią. Masz w sobie pasję i energię, które pomogą ci prowadzić to miejsce, a całkiem prawdopodobne, że pod twoimi rządami będzie ona prosperować jeszcze lepiej. Byłabyś idealną szefową. Pracownicy cię pokochają.

– Wujku, mam konkretne plany na przyszłość. I to znacznie odbiegające od prowadzenia restauracji. Nie jestem przekonana, czy dam sobie radę. Raczej nie należę do osób przebojowych, krzykliwych

i wymagających, a restauracja właśnie takiego szefa potrzebuje. Chyba nie potrafię rządzić ani utrzymywać dyscypliny...

– Potrafisz, tylko nigdy nie czułaś presji, by odkryć w sobie cechy, a teraz masz ku temu idealną okazję. Znam cię od urodzenia i wiem, że będziesz idealną, wymagającą i stanowczą szefową. Zresztą na początku będziemy z tobą. Wprowadzimy cię do restauracji. Wszystko pokażemy. Nie będziesz sama. Mamy świetnych pracowników. Są przeszkoleni i na pewno będą cię wspierać. Od niedawna prowadzimy też knajpę w Reus.

– Chyba żartujesz – szepnęłam jeszcze bardziej oszołomiona. – A kiedy to się stało? Dlaczego ja o niczym nie wiem?

– Rzadko ostatnio dzwoniłaś, przyjeżdżałaś...

– Wiem, przepraszam. Byłam przytłoczona studiami i pracą w cukierni. Ale obiecuję, że to się zmieni. Jesteście dla mnie bardzo ważni i wynagrodzę wam to...

– Możesz to zrobić nawet teraz. Zgódź się, proszę. – Zrobił minę szczeniaka, czym mnie kompletnie rozczulił.

– No, widzisz. Nie nadaję się na szefową. Spojrzałeś na mnie w ten sposób i już jestem gotowa się zgodzić. Nie dam sobie rady – jęknęłam, zakrywając twarz rękoma.

– Pomożemy ci, kruszynko. Więcej wiary w siebie.

Miałam mętlik w głowie.

– Czuję, że to się źle skończy. Naprawdę. Nie jesteście przypadkiem pod wpływem jakichś środków odurzających? Nie mogę uwierzyć, że chcecie oddać restaurację siostrzenicy, która ma tyle wspólnego z zarządzaniem ludźmi, co słoń z baletnicą! Przecież to szaleństwo! Mamo, powiedz swojemu bratu, że oszalał. Ja nie wiem, jakich użyć argumentów. – Spojrzałam na mamę, która cały czas przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– Córeczko, to musi być wyłącznie twoja decyzja. Jeśli Carlos uważa, że sobie poradzisz, to jestem pewna, że tak będzie. Jesteś



niezwykle inteligentna, wytrwała, a do tego wrażliwa. Nie widzisz u siebie tych cech, ponieważ jesteś zbyt dobrym człowiekiem, żeby wpadać w samozachwyty. Ale uwierz mi, masz je w sobie, tak jak cała nasza rodzina.

– Dobra. Czyli jesteś po stronie brata, rozumiem. Tatku? Co ty powiesz na to, że twoja córka, magister inżynier projektowania terenów zielonych, zajmie się prowadzeniem restauracji? Czy to w ogóle jest zgodne z prawem? Nie trzeba mieć do tego jakichś papierów?

Gdy wypowiedziałam na głos te słowa, dotarło do mnie, że nie mogłam wymyślić większej głupoty, ale po prostu łapałam się każdej deski ratunku. A że od zawsze bałam się wody i nie potrafiłam pływać, to właśnie miałam wrażenie, że ktoś wyrzucił mnie za burtę na środku oceanu i dał tylko jedno koło ratunkowe, z którego nie bardzo chciałam skorzystać, ponieważ zapewniało przetrwanie, a nie ratunek w podbramkowej sytuacji.

– Maribel, jeśli nie spróbujesz, to podejrzewam, że już zawsze będziesz się zastanawiać, czy dobrze zrobiłaś, że nie zaryzykowałaś. W życiu trzeba próbować różnych rzeczy, trzeba się sprawdzać, smakować... Inaczej to tylko stagnacja, bez radości i odrobiny dreszczyku emocji. Zawsze będziesz miała czas na znalezienie pracy w zawodzie. Przecież nikt nie odbiera ci twojej wymarzonej przyszłości. A może akurat to w restauracji się odnajdziesz i pokochasz ją równie mocno jak Carlos i Selena? Kto wie, może to właśnie jest twoja wymarzona przyszłość?